

Maksym Gorki
ROSJA
tłum. Małgorzata Buchalik

FRAGMENT

Rozdział: Oryginalny włóczęga (str. 58-65)

Podczas jednej z obław, zorganizowanych przez władze policyjne, zatrzymano – wg „Kurier Warszawski” – oryginalnego włóczęgę, niejakiego G., człowieka starszego już, w wieku lat 50. Wszystkie dokumenty miał w zupełnym porządku, nie potrafił tylko podać swojego miejsca zamieszkania. Po zbadaniu sprawy G. okazał się człowiekiem majątnym, amatorem mocnych wrażeń. Interesując się życiem włóczęgów i bezdomnych, po śmierci żony umieścił córkę na pensji, a sam rozpoczął życie zawodowego włóczęgi, nocując w piecach cegielni itp. Jedynie zimą, podczas silnych mrozów, G. wraca do Warszawy, przeczekać mrozy w jednym z hoteli. Zatrzymany wraz z grupą włóczęgów G. obiecał zmienić styl życia, „choć – dodał – nie mogę za to ręczyć”.

W latach '90-tych kolekcjonowałem notki na ten temat i zebrałem ich około trzydziestu, ale w 1905 roku paczkę, w której je trzymałem, zabrano mi podczas przeszukania i zagubiono na posterunku żandarmerii w Piotrogradzie. Osobiście również spotkałem niemało takich ludzi. Szczególnie zapamiętałem Baszkę, człowieka, którego poznałem na budowie linii kolejowej Bieślan-Pietrowsk.

W wąskiej górskiej rozpadlinie, pośród gwarnego tłumu robotników, od razu przykuł moją uwagę: siedział na słonecznym stoku, w stercie wysadzonych dynamitem głazów, a u jego stóp kuli, rozbijali i wozili kamienie barwni, hałaśliwi ludzie. Sądząc, że jest tu „władzą”, wspiałem się do niego i zapytałem: znajdzie się dla mnie praca? Cieniutkim, wiercącym w ucho głosem odpowiedział:

– Nie jestem idiotą, nie pracuję.

Nie po raz pierwszy słyszałem podobne słowa; mało mnie zdziwiły.

– To co pan tu robi?

– Widzisz – siedzę i palę – powiedział, szczerząc zęby.

W szerokiej kufajce, w meloniku z oderwanym rondem przypominał nietoperza. Jego małe spiczaste uszy sterczały czujnie. Miał szerokie żabie usta; kiedy się uśmiechnął, dolna warga bezwolnie opadła, ukazując ściśle rzędy drobnych zębów. Przez to uśmiech zdał się zimny i zły. Oczy miał niezwykłe: w wąskim złocistym krążku białek błyskały ciemne okrągłe źrenice nocnego ptaka. Twarz wygolona jak u pastora, nozdrza długiego cienkiego nosa paskudnie spłaszczone. W długich palcach muzyka trzymał grubego papierosa, szybkim gestem podnosił go do ust, zaciągał się głęboko dymem i kaszłał.

– Palenie panu szkodzi.

Odpowiedział natychmiast:

– A tobie szkodzi gadanie, od razu widać, żeś dureń...

– Dziękuję.

– Noś na zdrowie.

Pomilczał chwilę, spojrział spość łba i poradził nieco uprzejmiej:

– Idź stąd, tu nie ma pracy!

Na niebie nad rozpadliną uwijał się wiatr, pędząc obłoki jak stado owiec. Na słonecznym stoku falowały rude jesienne krzaki, zrzucały martwe liście. Gdzieś blisko ludzie wysadzali skałę, głośmy huk niósł się po górach; piszczwały koła taczek, miarowo uderzał młot, wbijając w górotwór stalowe „szpilki”, wierząc głębokie otwory pod ładunki.

– Głodny? – spytał garbus. – Zaraz zagwizdzą na obiad. Ilu was się szlaja po świecie – warknął i splunął.

Przenikliwy gwizd przeciął powietrze – jakby stalowa struna trzasnęła po rozpadlinie, zagłuszając wszystkie inne dźwięki.

– Idź – powiedział garbus.

Szybko rozrzucił na kamieniach ręce i nogi, zrećnie wczepiając się nimi, jak małpa, bezgłośnie i ohydnie zlął na dół. Ludzie posilali się, siedząc na głazach i taczkach wokół kotłów, jedli kaszę jaglaną z baranym sadłem, gorącą i bardzo słoną. Przy naszym kotle sześciu ludzi, nie licząc mnie. Garbus zachowywał się jak pan: spróbował kaszy, zmarszczył wygoloną twarz i grożąc łyżką staruszkowi w damskim słomianym kapeluszu, wrzasnął ze złością:

– Znów przesoliłeś, świnió!

Pięciu ludzi zaryczało, a wielki czarny chłop zaproponował:

– Trzeba by go sprać...

– Umiesz gotować kaszę? – zapytał mnie garbus. – Nie łzesz? Uważaj! Wypróbujemy cię – zarządził, i wszyscy go poparli.

Po obiedzie garbus poszedł do baraku, a stary kucharz, dobroduszny, z czerwonym nosem, pokazując mi, gdzie leży słonina, gdzie proso, chleb i sól, mówił półgłosem:

– Nie patrz na garb, to panicz, ziemianin, rządził szlachtą, ta-ak! Taka głowa! Jest u nas jakby za starostę, ta-ak! Taki szczególnie człowiek, ta-ak...

Godzinę później w rozpadlinie znów ruszyła praca, ludzie biegali, a ja poszedłem szorować w potoku kotły i łyżki, rozpałem ognisko, powiesiłem nad nim czajniki z wodą, potem zacząłem obierać ziemniaki.

– Byłeś kucharzem? – rozległ się cienki głos garbusa; podszedł bezszelestnie, stanął za mną i uważnie patrzył, jak posługuję się nożem. Kiedy stał, jeszcze bardziej przypominał nietoperza.

– W policji nie służyłeś? – zapytał i zaraz odpowiedział sam sobie: – Na to jesteś za młody.

Machnął połamami peleryny, znów jak nietoperz, wskoczył na kamień, na kolejny, szybko wspiął się na górę i usiadł, gęsto dymiąc papierosem.

Moje jagły zasmakowały robotnikom, pochwalili mnie i rozeszli się po rozpadlinie, trzech grało w karty, pięciu myło się w zimnym górskim potoku; gdzieś spośród głazów i krzaków dobiegła kozacka pieśń. W grupie było dwudziestu trzech ludzi, łącznie ze mną i garbusem; wszyscy zwracali się do niego per „ty”, ale z szacunkiem i nawet jakby strachem.

W milczeniu usiadł na kamieniu przy ognisku, rozgrzebywał żar długim patykiem, a obok bez pośpiechu zebrało się z dziesięciu ludzi; czarny chłop, jak wielki pies, położył się u jego stóp, szczuplutki chłopak poprosił:

– Ej, nie kręćcie się! Ciszej...

Garbus zaczął mówić, nie patrząc na nikogo, wyraźnie i dźwięcznie:

– To jest tak: mamy losy, półloski i dole...

Spojrzałem na niego zdumiony; zauważył to i surowo zapytał:

– No co?

Wszyscy patrzyli na mnie, jakby na coś czekając; patrzyli nieprzyjaźnie. Garbus pomilczał, dokładniej okrył ramiona i ciągnął:

– Dole – to coś jak anioły stróże, tyle że posyła ich człowiekowi Szatan.

– A dusza? – spytał ktoś cichutko.

– A dusza to ptak, i Szatan na niego poluje!

Gadał bzdury, ale pełne grozy. Widać znał artykuł Potiebni „O doli i podobnych jej istotach”, ale poważna treść pracy naukowej mieszała się w jego głowie z bajkami i ciemnymi wymysłami. W dodatku szybko zmienił język z prostego na literacki, niemal wykwintny.

– Od początku czasów ludzkość otaczają tajemnicze siły, których nie rozumiemy i z którymi nie umiemy walczyć. Starożytni Grecy...

Jego ostry, nerwowo wibrujący głosik, niezrozumiałe kombinacje słów i zapewne też okropny wygląd – wszystko to działało na ludzi przytłaczająco: słuchali w ciszy, patrząc w twarz nauczyciela jak wierzący wpatrują się w ikonę. Ptasie oczy garbusa błyskały niespokojnie, obwisła dolna warga ruszała się i jakby puchła, coraz grubsza i cięższa. Zdawało mi się, że w jego mrocznych wymysłach jest coś, w co sam wierzy i czego się boi. Czerwone odbłaski ogniska omiatały mu twarz, i ta robiła się coraz ciemniejsza i bardziej ponura.

Nad rozpadliną zawisły nieruchomo szare chmury; w zapadającym mroku płomień ogniska gęstniał i coraz mocniej czerwieniał, skały rosły nad nami, zawężając głęboką górską rozpadlinę. Za moimi plecami skradał się i pluskał potok, i coś szurało jak jeź w suchej trawie.

Kiedy zrobiło się całkiem ciemno, robotnicy rozglądając się wokół poszli do baraku, a ktoś przygnębionym półgłosem powiedział:

– Taka to nauka...

W odpowiedzi padło jeszcze ciszej:

– Zeszła już na diabły...

Garbus został przy ognisku, grzebał patykiem w żarze. Kiedy koniec patyka zaczynał się palić, podnosił go i trzymał w powietrzu jak pochodnię, i patrzył sowymi oczami na żółte pióra ognia. Pióra odrywały się i ulatywały w ciemność, wtedy szybko kręcił patykiem i nad jego głową, w powietrzu, powstawał czerwony nimb. Głowa w meloniku bez runda przypominała żeliwny odważnik, wetknięty kabłąkiem między szerokie bary.

Dwa dni obserwowałem, usiłując zrozumieć: co to za człowiek? On również przyglądał mi się podejrzliwie i czujnie, ale nie zwracał się do mnie i na moje pytania odpowiadał opryskliwie. Po kolacji, przy ognisku, opowiadał ludziom przerażające rzeczy:

– Ciało człowieka zbudowane jest jak pumeks albo gąbka, albo jak chleb – jest porowate, rozumiecie? I przez te wszystkie pory płynie krew. Krew to jest płyn, w którym pływają miliony niewidocznych gołym okiem pyłków, ale te pyłki są żywe, jak meszki, tylko mniejsze od meszek.

Podniósł głos niemal do pisku:

– I właśnie do tych pyłków włożą diabły!

Dobrze widziałem, że ludzie boją się jego opowieści. Chciałem z nim dyskutować, ale kiedy zadawałem pytania, nie odpowiadał mi, a słuchacze kopali mnie i szturchali, powarkując:

– Siedz cicho!

Jeśli odłamek kamienia kaleczył komuś skórę na twarzy albo nodze, garbus tajemnym szeptem zamawiał krew. Pewnemu chłopcu wyrósł na dziąśle wielki ropień; garbus wspiał się na górę, nabierał tam jakichś korzeni, ziół, ugotował je w czajniku, zrobił z burej mazi kataplazm, trzy razy przeżegnał chłopaka, powiedział coś zabawnego o głazie Ałatyrze i o tym, jak siedziała na nim Alleluja.

– No, idź!

Nie zauważyłem, żeby się uśmiechnął, choć miał wystarczająco dużo powodów, żeby śmiać się z ludzi. Jego twarz była zawsze nieufnie poważna, uszy nastroszone. Rano włożył na słoneczny stok rozpadliny i jak czarny ptak siedział tam pośród głazów, obserwując harówkę ludzi na dole. Ludzie wołali go czasem:

– Baszka!

Szybko złaził, i zawsze dziwiła mnie sprawność, z jaką wczepiał się rękami i nogami w kamienie potrzaskane przez dynamit. Rozsądzał sprzeczki, rozmawiał z dziesiętnikiem, jego cieniutki głos nie tonął w harmidrze pracy.

Dziesiętnik, gruby mężczyzna z drewnianą twarzą żołnierza, słuchał go z szacunkiem.

– Kim jest ten człowiek? – zapytałem dziesiętnika, kiedy rozpałał fajkę przy ognisku.

Ten rozejrzał się i ostrożnie odpowiedział:

– Cholera go wie. Jakiś szaman czy coś. Może i wilkołak...

A jednak udało mi się porozmawiać z garbusem. Kiedy po kolejnym wykładzie o diabłach i mikrobach został przy ognisku, zapytałem:

– Po co pan im to wszystko mówi?

Spojrzał na mnie, zmarszczył nos, który zrobił się przy tym jeszcze ostrzejszy, i rozżarzonym kijem chciał ukłuć mnie w nogę. Odsunąłem się i pokazałem mu pięść. Wtedy ostrzegł mnie z pełnym przekonaniem:

– Jutro cię spiorą.

– Za co?

– Spiorą.

Jego dziwne oczy groźnie błysnęły, warga opadał jeszcze mocniej, obnażając zęby. Powiedział:

– Co za morda!

– Nie, poważnie! Przecież pan nie wierzy we wszystkie te bzdury?

Długo milczał, grzebiąc kijem w ognisku i wymachując nim nad głową, i znowu świecił nad nim, wirował czerwony nimb.

– W diabły? – spytał raptem. – Dlaczego miałbym nie wierzyć?

Głosik garbusa brzmiał słodko, ale fałszywie, i sam garbus patrzył na mnie nieprzyjemnie. „Każę mnie sprać” – pomyślałem.

A on, wciąż słodko, zaczął wypytywać: kim jestem, gdzie się uczyłem, dokąd idę? I wreszcie mimowolnie chyba zmienił ton, w jego słowach poczułem wielkopańską łaskę, zabawną nonszalancję „wyższego” wobec „niższego”. Kiedy znów zapytałem go o wiarę w diabły, uśmiechnął się i powiedział:

– W coś przecież wierzysz? W Boga? W cuda?

I mrugnął do mnie:

– A może w postęp, co?

Ogień rumienił jego żółtą twarz i nad górną wargą połyskiwały srebrne igiełki rzadkich, krótko przystrzyżonych wąsów.

– Po seminarium? Siejesz wśród ludu to, co „mądre, dobre i wieczne”, tak?

Kiwnął głową i dodał:

– Głupiś! Od razu zrozumiałem, co z ciebie za ptaszek, znam te wasze numery...

Ale mówiąc to rozglądał się podejrzliwie, coś zaczęło go niepokoić.

Na złocie węgielków wiły się liliowe jęzory, wykwiwały błękitne kwiaty. W mroku nad ogniskiem utworzył się złocisty dzwon, siedzieliśmy pod jego czaszą, zewsząd napierała nań mokra mgła, drżał. Ciężka cisza jesiennej nocy napełniała powietrze, rozbite kamienie zdawały się grudami ciemności.

– Dołóż dREW.

Wrzuciłem na żar pęk gałęzi, dzwon napełnił się gęstym dymem, zrobiło się jeszcze ciemniej i ciaśniej, potem spod gałęzi wypełzły z trzaskiem żółte żmije, zbiły się w kłęb, strzeliły jasnym płomieniem, odsunęły granice ciemności. Jednocześnie rozległ się głos garbusa, pierwsze słowa zabrzmiały niejasno i przepadły, zanim zdążyłem je pojąć. Mówił cicho, jakby przysypiał.

– Tak, diabły to nie żarty... To taka sama rzeczywistość jak ludzie, karaluchy, mikroby. Diabły bywają różnych form i kategorii...

– Pan tak poważnie?

Nie odpowiedział, pokiwał tylko głową, jakby uderzał czołem w coś niewidzialnego, nie dającego głosu, ale twardego, i patrząc w ogień ciągnął:

– Są, na przykład, diabły liliowe; nie mają kształtu, przypominają ślimaki bez skorup, ruszają się bezgłośnie, takie półprzejrzyste. Kiedy jest ich dużo, robi się z nich galeretowata masa, przypominająca obłok. A jest ich strasznie dużo. Rozsiewają nudę. Pachną kwaśno, na sercu robi się od nich ponuro i leniwie. Nienawidzą wszelkich ludzkich pragnień...

„Żartuje?” – pomyślałem. Ale jeśli żartował, to doskonale, jak subtelny artysta. Oczy błyskały mu ohydnie, koścista twarz wyostrzyła się. Wygrzebywał węgielki końcem kija i lekkimi uderzeniami rozbijał, zmieniał w pęczki iskier.

– Diabły holenderskie są dla odmiany małe i koloru ochry, okrągłe jak piłeczki, i wiecznie się łuszcą. Główki pomarszczone jak ziarna pieprzu, łapki długie, cienkie jak nitki, palce zrosnięte błoną i na końcu każdego czerwony haczyk. Z ich podszeptu człowiek może powiedzieć gubernatorowi „Głupek!”, zgwałcić własną córkę, zapalić papierosa w cerkwi, tak-tak! To są diabły nieświadomego skandalu...

– Diabły kraciaste – to chaos pokrzywionych linii; gorączkowo, nieprzerwanie miotają się w powietrzu, tworząc i zaraz niszcząc dziwne wzory, stosunki, związki. Bardzo męczą wzrok. Coś jak łuna wschodu. Ich zadaniem jest przecinać drogi człowieka, dokądkolwiek ten idzie... Dokądkolwiek...

– Diabły sukienne przypominają kształtem gwoździe o rozdwojonym ostrzu. W czarnych kapeluszach, twarze mają zielonkawe i tlą się mętnym fosforycznym blaskiem. Chodzą skokami, ruchem konia szachowego. W mózgu człowieka wzniecają błękitne płomienie szaleństwa. To przyjaciele pijaków.

Garbus mówił coraz ciszej i tak, jakby zdawał wyuczoną lekcję. Słuchałem chciwie i nie rozumiałem: to brednie szarlatana czy bełkot wariata?

– Straszne są diabły bicia dzwonów. Skrzydlate, jedyne skrzydlate pośród legionów diabłów. Ciągną do rozpusty i nawet wyglądem przypominają kobiece genitalia. Migają jak jaskółki, przenikając człowieka, i opalają go chucią. Mieszkają, jak się zdaje, na dzwonnicach, dlatego też szczególnie mocno prześladowają ludzi podczas bicia dzwonów.

– Ale jeszcze straszniejsze są diabły księżycowych ludzi. To takie bańki. W każdym punkcie wokół każdego z nich nieustannie pojawia się znika ta sama twarz, przejrzyste niebieska, bardzo

smutna, ze znakami zapytania w miejscu brwi i okrągłymi oczami bez źrenic. Poruszają się jedynie w pionie, w górę i w dół, i wszczepiają człowiekowi natrętną myśl o wiecznej samotności. Wbijają w głowę: na ziemi, wśród ludzi, żyję dopiero w przeczuciu samotności. A kompletna samotność dopadnie mnie po śmierci, kiedy mój duch uniesie się w nieskończoność wszechświata i tam, na zawsze martwo przykuty do jednego punktu, nie widząc nic prócz pustki, będzie skazany na wieczne wpatrywanie się w samego siebie, wspominając swoje ziemskie życie do najdrobniejszych szczegółów. I tak przez tysiąclecia: tylko wspomnienia o smutnej głupocie ziemskiego życia. I nieruchomość. Pustka...

Trzymał kij opuszczony w ognisko, zębate ogniki chyłkiem podbiegały po nim ku dłoni. Kiedy skórze na ręce zrobiło się gorąco, garbus ocknął się, machnął kijem, przepędził ogniki, zeskrobał żar z opalonego końca kija o kamienie – kij mocno dymił. Potem znów zaczął dymiącym kijem wygrzebywać z ogniska węgielki i rozbijać je, bryzgając iskrami. Zamilkł.

Minęła minuta, dwie. Było dziwnie. Zapytałem:

– Pan naprawdę wierzy...

Nie dał mi skończyć, zawołał dźwięcznie:

– Wynocha!

I pogroził mi dymiącym kijem:

– Jutro cię spiorą!

To mi się nie uśmiechało, a byłem pewien, że może się tak zdarzyć. Kiedy więc garbus poszedł do baraku, spać, odszedłem drogą na Władykaukaz.